

Ciemno wszędzie, zimno wszędzie

BYDGOSZCZ. Po premierze „Dziadów” Mickiewicza

Do szpiku kości przyszło bydgoskiej publiczności odczuć: dwusetną rocznicę urodzin Mickiewicza, osiemdziesiątą odzyskania niepodległości i Tydzień Kultury Chrześcijańskiej. Sprawił to spektakl „Dziadów” w reżyserii Andrzeja Waldena wystawiony w zimnym kościele na placu Wolności, a raczej nie spektakl tylko statyczna recytacja tekstów wieszczów.

Jest godzina 20.00. W kościele panuje półmrok, przecinany teatralnymi reflektorami (jak palce Boże zza chmur na niebie). Ta przestrzeń, która niczego nie udaje, z natury swej przeznaczona do rozmowy z Bogiem, bardzo nas przejmie, gdy już ścieśnimy się w zimnych ławkach. Półmrok, polichromie na ścianach, akustyka inna niż w teatralnej sali, to wszystko działa. Przestrzeń jest tu jedynym pomysłem na „Dziady po bydgosku”: pomysłem bynajmniej nie autorskim, ale niech będzie.

Niestety, później ten pierwszy metafizyczny dreszcz płynący z przestrzeni widowiska ginie. Później są pochody ciemnych postaci ze świecami, mamroczącymi „co to będzie, co to będzie”, polecą trochę dymu i wysłuchamy recytacji tekstu wszystkich części „Dziadów” z pewnymi skrótami. Guślarz zajmuje się Waldemar Czystak, aktor idealny do tej roli. Wysoka postać, mocny głos, jednym słowem wszystko, co niezbędne do dyrygowania duszami. Szkoda jednak, że bardziej nie rozpałił swej bożej iskry. Wydaje się więc, że odgany duch Gustawa nie chce go posłuchać z powodów innych, niż podyktowanych treścią dramatu. Podobnie rzecz się ma z rolą Księdza Piotra (Włodzimierz Matuszak).

Ale to przecież nie ich wina. Bo jak tu cokolwiek rozpałić, gdy w kościele jest poniżej zera. Publiczność siedzi zakutana w płaszcze, futra, szale, rękawiczki; panie w kapeluszach bądź nieco monumentalnych beretach. Publiczność pokasłuje i dyskretnie siorbie nosem. I takiej właśnie widowni musi stawiać czoło Roman Gramziński. Gustaw Konrad. Występuje tylko w białej koszuli i czarnych spodniach. Tak lekko ubrany musi całe kwadrans leżeć na lodowatej ziemi albo stać w miejscu – jak prawdziwy więzień z carskich ka-



Guślarz Waldemar Czystak

zamat. Gramziński daje z siebie wszystko. Szczególnie w Wielkiej Improwizacji. Widać, że aktor pracował nad każdym wersem tekstu. Tu nie ma zbędnych pauz bądź egzaltowanych wykrzykników. Ileż wysiłku kosztowała go ta rozmowa z Bogiem, gdy wcześniej wymarzył leżąc na ziemi. Jak mówić taki tekst, mając szczęki ściągnięte zimnem? To już wie tylko Roman Gramziński i Pan Bóg, który na pewno go słyszał.

W porównaniu z tą wielką rolą reszta to tylko recytacje postaci, które wchodzi na pomost sceny i wychodzi. Wsłuchuje się w nie uważnie to pokolenie widzów, które wie, co to „wolność z ręki moskwicina”. I dopiero, gdy człowiek wyobrazi sobie, że przed kościołem stoją suki, a chłopaki z pałami grzeją się przy koksownikach, dopiero wtedy przejmie nas Widzenie

Księdza Piotra. Wtedy nie myślimy o skromności inscenizacyjnej. Jednak gdy myśłą wrócimy do obecnych czasów, to przede wszystkim jest nam zimno. Widzimy plastikowy kubek z gorącą kawą w pobliskiej restauracji. To pierwsza rzecz, o której się myśli po dwóch godzinach i 10 minutach „Dziadów po bydgosku”.

JANUSZ MILANOWSKI

Teatr Polski w Bydgoszczy. „Dziady” Mickiewicza w reżyserii Andrzeja Waldena. Premiera 12 listopada 1998 roku.